

RAFAL LEWANDOWSKI

BLOK



Rafał
Lewandowski

BLOK

Copyright © by Rafał Lewandowski, Bełchatów 2015.

All rights reserved.

Artystyczny Bełchatów

www.artystycznybelchatow.blogspot.com

Projekt okładki: Łukasz Buchała

www.buchersdesign.pl

Bełchatów 2015

Wydanie II

ISBN 978-83-62441-40-2

Pierwsze wydanie w formie papierowej ukazało się w lipcu 2015 roku we współpracy z wydawnictwem Coś Pięknego.

Książkę w tej tradycyjnej postaci (240 stron) można zamówić pisząc maila na adres: lewandowski1331@gmail.com

Cena 28 zł + koszt wysyłki

„Cisza, chwała silnych, schronienie słabych”

Charles De Gaulle

*„Milczenie jest jednym z najtrudniejszych argumentów
do obalenia”*

Josh Billings

I SEN

ROZDZIAŁ I

Kolejny raz obudziłem się z „krzykiem”. No dobrze, przyznaję, że to zbyt duże słowo, chociaż gdybym umiał mówić zapewne darłbym się jak opętany.

Ten niemy wrzask nawet na moment nie zakłócił spokojnego snu mojej pięknej małżonki – Jagody Wells. Już Wells, z czego jestem niesamowicie dumny. W chwilach takich jak ta często myślałem, że to nawet dobrze być niemową, przynajmniej żona może się porządnie wyspać. W odróżnieniu ode mnie.

Nawet nie potrafiłbym już policzyć, która noc z kolei kończy się w moim przypadku w podobny sposób. Jednak doskonale pamiętam, kiedy to się zaczęło. Pewnie myślicie, że zaraz po ślubie, ale to nie tak.

Cyniczni przeciwnicy instytucji, jaką jest małżeństwo zapewne stwierdziliby, że ta dość nietypowa forma bezsenności została wywołana żalem za utraconą wolnością, ale są w błędzie. Szczęśliwym mężem jestem od ponad trzech lat, a moje problemy ze snem utrudniają mi życie od jakichś czterech miesięcy. Najbardziej zagorzali krytycy monogamii próbowaliby mi wmówić, że właśnie dobiegł kres małżeńskiej sielanki i moja podświadomość wysyła mi wyraźne sygnały, że powinienem coś jak najszybciej zmienić w swoim życiu, aczkolwiek kompletnie nie mają racji. Zresztą, kto by słuchał rad zgorzkniałych samotników, którzy formułują te swoje krzykliwe teorie jedynie dlatego, że sami nie trafili jeszcze na swoje drugie połówki albo już na nie trafili, ale nie potrafili wyrzec się dla nich swobody związanej z kawalerskim stanem. Inni krzykacze prawdopodobnie zostali w przeszłości odrzuceni i ze strachu przed następną porażką nie byli już w stanie zaangażować się emocjonalnie w kolejny związek. Przecież zawsze łatwiej się wymądrzać niż spróbować coś naprawić.

Na szczęście moje małżeństwo ma się dobrze i nie zamieniłbym Jagody na żadną inną kobietę. W końcu kto rozumiałby mnie tak dobrze, jak ona?

Lubię patrzeć, jak śpi, zresztą zawsze lubiłem. Wygląda wtedy tak bezbrinnie, a jednocześnie wyraża tym bezgraniczne zaufanie w stosunku do mojej skromnej osoby. Wie, że zawsze będę obok i nigdy jej nie skrzywdzę. Ja też mam nadzieję, że nikt i nic nas nie rozdzieli, chyba nie potrafiłbym już żyć w pojedynkę.

W zasadzie można śmiało powiedzieć, że jestem szczęśliwym człowiekiem, chociaż w przeszłości nie zawsze wyglądało to tak różowo. Doświadczyłem paru trudnych sytuacji, o których wciąż nie potrafię zapomnieć, jak cień ciągnie się za mną poczucie winy, ale Jagoda sprawiła, że ta nutka goryczy nie stała się dominującym smakiem mojego życia. Teraz

określiłbym je raczej jako słodkie, no może z odrobiną nieco ostrzejszych, bardziej pikantnych przypraw. Właściwie nie mógłbym narzekać, gdyby nie te problemy ze snem.

Cztery miesiące temu przeprowadziliśmy się do tego domu. Domu, który kiedyś stanowił miejsce stałego pobytu dla trzech pokoleń Wellsów: moich dziadków, rodziców oraz oczywiście dla mnie i dla mojego liczego i rozgadanego rodzeństwa. Teraz nie jest tu już tak tłoczno, w zasadzie mieszkam tu tylko ja i Jagoda.

Dziadek Martin i babcia Katarzyna nie żyją, chociaż staruszka dobrze się trzymała i wcale nie spieszyło się jej do męża, który wydał ostatnie tchnienie prawie cztery lata przed nią.

Moi rodzice nadal mają się dobrze, chociaż ojca już dopadają problemy zdrowotne, lecz mama dba o niego najlepiej jak umie. Dzięki jej diecie i gimnastyce, którą razem uprawiają, prowadzą zdrowszy tryb życia niż ja, ale przecież jeszcze sporo czasu przede mną.

Póki mogę, objadam się tym, co lubię, nawet jeśli ocieka to tłuszczem i jest pełne cholesterolu. Wiem, że kiedyś będę musiał zrezygnować z tych przyjemności, ale... Na szczęście na razie nie muszę.

Niepotrzebnie teraz o tym pomyślałem. Jest dopiero czwarta nad ranem, a ja już chętnie zjadłbym jakiegoś cheeseburgera z frytkami polanymi gorą ostrego keczupu. Jagodzie by się to nie spodobało. Dobrze, że jednak nie zna wszystkich moich myśli, chociaż czasami czuję się tak jakby wiedziała o mnie więcej niż ja sam.

Ech, znowu się rozgadałem. Miało być o dawnych mieszkańcach tego domu, a nie o żarciu i wiążącym się z nim brakiem silnej woli.

Thomas, jako syn Martina i Katarzyny, mieszkał tu od urodzenia. Jego żona dołączyła do niego jakieś dwadzieścia pięć lat później. Mój ojciec nigdy nie wyprowadził się od swoich rodziców. Wcześniej nie widziałem w tym niczego dziwnego, ale od chwili, w której obudziła się we mnie potrzeba samodzielności i niezależności, patrzyłem na to zupełnie inaczej. Sam uciekłem stąd, najszybciej jak tylko mogłem. Już jako osiemnastolatek opuściłem rodzinny dom, chociaż nadal miałem do niego blisko, parę minut drogi i to na piechotę.

Moje małe mieszkanko na obrzeżach miasta było całkiem przytulne, a gdy jeszcze wprowadziła się do niego Jagoda, niczego więcej nie potrzebowałem. Szczerze mówiąc, myślałem, że to właśnie tam uwijemy sobie nasze miłosne gniazdko, a w nieco dalszej przyszłości będziemy wychowywać nasze dzieci, chociaż wtedy jeszcze nie poruszaliśmy otwarcie tego tematu. Jednak życie potoczyło się inaczej, ale to wcale nie znaczy, że wyszło gorzej niż to sobie zaplanowałem.

Moje rodzeństwo wybrało różne drogi, nawet nieco zaskakujące.

Na przykład młodsza siostra Kinga. Kiedyś latała z imprezy na imprezę i była najmniej odpowiedzialna z naszej szóstki. Ciągle pokazywała się z innym chłopakiem. Dziś to przede wszystkim kochająca żona i matka bliźniaczek: Malwiny i Alicji. Ostatni raz bawiła się w klubie chyba jeszcze przed ślubem, ale twierdzi, że wcale jej tego nie brakuje. Podobno wyszalała się wcześniej, a teraz docenia spokój i stabilizację. Diametralna odmiana, żadna wróżka nie przepowiedziałaby jej takiej przyszłości, zresztą pewnie sama Kinga jeszcze parę lat temu by w to nie uwierzyła. Ja też nie, właściwie to nadal nie mogę uwierzyć.

Z kolei Julia, druga z moich siostr, postawiła na karierę. Zaraz po maturze wyjechała na studia do Warszawy. Skończyła prawo i została tam na stałe, chociaż nie trzyma jej tam nic poza pracą, ale ona podobno nie widzi w tym problemu. Myślę, że tylko tak mówi, lecz nie mam zamiaru się wtrącać. W końcu to jej życie i jej decyzje.

Natalia jeszcze studiuje i pewnie szybko nie skończy. Semestr na pedagogice, semestr na socjologii, a niedawno zaczęła studiować filozofię. Normalnie, co kierunek to gorszy, aż boję się pomyśleć, co będzie dalej. Niezależnie od tego cały czas siedzi we Wrocławiu i nie ma zamiaru wracać.

Najlepsza jest najmłodsza. Zuzanna, nasza mała artystka. Szybko zaczęła karierę wokalną, a sława przyszła do niej jeszcze szybciej. Moim zdaniem zdecydowanie za szybko. To dopiero szesnastolatka, a pieniądze i wielki świat całkiem przewróciły jej w głowie, ale i tak ją kocham, chociaż widzę ją średnio raz do roku, ostatnio może nawet i rzadziej. Mam oczywiście na myśli spotkania na żywo, na co dzień musi mi wystarczyć oglądanie jej w teledyskach, które nie do końca mi się podobają, w końcu to moja siostra.

Tak się skupiłem na tych kobietach, że kompletnie zapomniałem o swoim bracie Adamie. Ostatni raz widziałem go na swoim ślubie, czyli jakieś trzy lata temu. Zaraz potem wyleciał do Kanady, miał wrócić za dwa miesiące. Nie wrócił. Zakochał się w jakiejś kanadyjskiej dziennikarce i chce się z nią ożenić, ale jej podobno się nie spieszy. Gdyby nie „wujek Google” to nawet nie wiedziałbym, jak wygląda wybranka mojego braciszka. Nie życzę im źle, lecz jeśli się nie rozstaną, to Adam chyba nigdy nie wróci do Polski. Szkoda, bo strasznie się za nim stęskniłem, ale on widocznie nie, skoro ani razu nie przyleciał mnie odwiedzić. Zaproszenia do Kanady też się nie doczekałem...

W ten właśnie sposób moi rodzice zostali sami w wielkim domu. To oni wyszli z propozycją zamiany. Jeżeli powiedziałbym, że byłem tym zachwycony, skłamałbym. Przyzwyczaiałem się do życia w bloku, do wszystkich jego wad i zalet. Pewnie bym im odmówił, lecz Jagoda uznała pomysł teściów za genialny.

Idea szybko stała się rzeczywistością. Trochę dziwnie się czułem wracając po tylu latach na stare śmieci. Nie przypuszczałem, że kiedyś ponownie tu zamieszkać. Historia zatoczyła koło, chociaż nic nie było tu takie samo jak wcześniej. Nie chodzi mi o wystrój wnętrza czy umeblowanie, bo akurat w tej kwestii niewiele się tu zmieniło (aczkolwiek najwyższy czas na generalny remont). Kiedyś ten dom po prostu tętnił życiem, wszędzie było pełno ludzi, zewsząd dawało się usłyszeć praktycznie nigdy niemilkący gwar rozmów, kłótni czy też innych rodzinnych dyskusji. Teraz dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Oczywiście wiedziałem, że w przyszłości się to zmieni i gdy pojawią się dzieci, to ten budynek znowu wypełni się radością.

Jagodzie chyba to nie przeszkadzało, ale jeszcze nigdy nie zostawała tu sama, gdyż nigdzie się bez niej nie ruszałem, zresztą nie miałem takiej potrzeby. Za to ona czasem wychodziła gdzieś z koleżankami, podczas gdy ja siedziałem tu sam wsłuchując się w jęki starego domu. Dopóki mieszkaliśmy w bloku te jej babskie wypadki kompletnie mi nie przeszkadzały, nawet cieszyłem się, że ma grono oddanych znajomych.

Moja pani Wells przewróciła się na drugi bok i rozkosznie mrucząc przytuliła się do mojego ramienia. W głowie znowu pojawiła się ta sama myśl: „Jestem szczęściarzem”.

Leżeliśmy tak w łóżku w pomieszczeniu, które jeszcze całkiem niedawno było sypialnią moich rodziców. Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem się trochę dziwnie. Staro? Nie, to bezsens, przecież nie przekroczyłem nawet trzydziestki. To nieco inne uczucie. Jakbym powtarzał życie po kimś, żył tak jak moi rodzice i jak miliony innych ludzi przede mną i przed nimi.

Swoją drogą to strasznie dziwne. Tyle miliardów ludzi, a w zasadzie tylko kilka wariantów życia: być samemu albo z kimś; postawić na rodzinę lub karierę. Zawsze można jeszcze spróbować połączyć te dwa elementy, a także kompletnie je olać, pozostając biernym i biednym samotnikiem. To tyle. Najgorszy jest fakt, że tak naprawdę wybiera się tylko raz i później trzeba się męczyć z konsekwencjami wiążącymi się z daną decyzją. Większość wybiera wariant, który ma najmniej wad, co wcale nie jest równoznaczne z tym, że ma najwięcej zalet. Niestety, wcześniej trudno określić, co jest dobre, a co złe. Najczęściej okazuje się to dopiero po fakcie, gdy już nie można się wycofać.

Gdy tak patrzę na Jagodę, myślę że chyba dobrze wybrałem. Na chwilę obecną jestem nawet tego pewien. Pozostaje mieć nadzieję, że ona też.

Miałem się teraz skupiać na swoim śnie, który ciągle nie daje mi odpocząć, ale moje myśli jak zwykle samoistnie odbiły w inne rejony. Zawsze gdy się obudzę i nie mogę ponownie zasnąć, snuję rozważania o życiu i zazwyczaj nie przestaję, dopóki małżonka nie

uchyli zaspanych powiek, ale nie planuje jeszcze wstawać z łóżka. Wtedy myślę już wyłącznie o niej, aczkolwiek nie w tak filozoficznym sensie.

Na razie jednak nadal śpi.

Poczekam.

* * *

O ile dobrze pamiętam, zacząłem od tego, że obudziłem się z krzykiem. Mój dawny przyjaciel Wojtek powiedziałby teraz: „Nie fantazuj, Wells”. Lub coś w tym stylu. Zawsze mówił do mnie po nazwisku, nigdy po imieniu. Co ciekawe, Jagoda też czasem się tak do mnie zwraca, chociaż nie miała okazji poznać Sicińskiego.

Pewnie się dziwicie, że mojego przyjaciela nie było na naszym ślubie? Nie, nie było go, ale to zbyt długa historia. Nie mam zamiaru ponownie się nad nią rozwodzić, zresztą kiedyś już dokładnie o tym opowiadałem.

Znowu niepotrzebnie wplotłem kolejny wątek. Do rzeczy, Wells. Śmieszne, sam do siebie też mówię po nazwisku. Jednak coś w tym musi być.

Odkąd ponownie wprowadziłem się do rodzinnego domu (trochę dziwnie to brzmi) zaczęły się moje problemy ze snem. Już od pierwszej nocy. Nie chodzi o to, że kładłem się i nie mogłem zasnąć, wręcz przeciwnie. Wystarczyło, że położyłem się do łóżka i momentalnie zasypiałem. Tak szybko, że czasem Jagoda miała o to pretensje. Mogłoby się wydawać, że nie jest ze mną tak źle, ale mój mózg właśnie wtedy próbował udowodnić, że nie gra w jednej drużynie ze swoim właścicielem. Powiedziałbym nawet, że okazał się moim przeciwnikiem i to w dodatku takim, który nie stosuje się do reguł fair play. Gdy tylko zamykałem oczy i wpadałem w czarną, nieprzenikloną otchłań zwaną przez nieświadomych i przez to w miarę szczęśliwych osobników snem, zaczynały się problemy. Co noc te same. Koszmar za każdym razem wyglądał identycznie.

Najpierw z tej ciemności wyłaniałem się ja i niestety tylko ja. Już za pierwszym razem wiedziałem, że to nie wróży niczego dobrego. Samotność zawsze jest zła. Oznacza, że albo speprzyłeś coś na tyle, że nikt nie chce cię znać lub co gorsza straciłeś wszystkich, którzy coś dla ciebie znaczyli.

Później mrok powoli ustępował, ale gdybym powiedział, że stała się jasność, przesadziłbym, i to grubo. Porównałbym to raczej do deszczowego, jesiennego poranka, a konkretnie tej chwili tuż przed świtem, zanim jeszcze świat powoli zaczyna budzić się do życia. Z tą tylko różnicą, że w normalnym życiu wraz z upływem czasu robi się coraz jaśniej,

a we śnie ta szarówka zdawała się być najbardziej jaskrawym odcieniem, co zdecydowanie nie nastrojało zbyt optymistycznie.

Dopiero wtedy dostrzegalem, co mnie otacza. W przerażającej większości była to po prostu pustka, połączona spalonej ziemi z jedną budowlą na samym środku tego sięgającego aż po horyzont pustkowie. Coś jak latarnia morska, ale bez świateł.

Gdyby to zależało ode mnie, nie szedłbym w tamtym kierunku, lecz we śnie byłem jedynie marionetką w niepoczytalnych mackach mojego szalonego umysłu, który właśnie nocą odkrywał przede mną swoje najczarniejsze oblicze. Gnany tą niepokonowaną siłą zatrzymałem się dopiero kilka metrów przed starą konstrukcją.

Z tej odległości mogłem już bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że to zwykły blok mieszkalny, a raczej coś, co kiedyś, za czasów swej świetności spełniało taką funkcję. Zwyczajny blok, tylko odrapany i mocno zaniedbany. Zresztą, może to nie jest zbyt trafne określenie, tak można przecież opisać bloki na zdecydowanej większości polskich osiedli. Ten sprawiał wrażenie opuszczonego, jak budynek tuż po ewakuacji, gdy pożar został ugaszony, straż pożarna odjechała, a wraz z nią ekipa lokalnej telewizji spiesząca do swej siedziby z nadzieją, że uda się zmontować materiał do wieczornego wydania wiadomości.

W tej sytuacji dostrzegalem zaledwie dwie możliwości: wejść do środka lub zawrócić. Oczywiście ten wybór był czysto teoretyczny. W praktyce nie miałem nic do powiedzenia, chociaż wcale nie wiązało się to z brakiem umiejętności artykułowania dźwięków za pomocą aparatu mowy. Niewidzialna siła, która pchała mnie w kierunku bloku, teraz kazała mi do niego wejść. Równie rozsądne byłoby wchodzenie do budynku z tabliczką „Nie wchodzić! Grozi zawaleniem”, ale w zasadzie jedyną różnicę stanowił tu brak takowej tabliczki ostrzegawczej. Ot, zwykłe niedopatrzenie, za które na pewno ktoś odpowie, lecz dopiero wtedy gdy dojdzie do śmiertelnego wypadku.

Dostępu do drzwi nie bronił domofon, ale nawet gdybym go tu zobaczył, to pewnie i tak by nie działał. Bez udziału własnej woli pchnąłem drzwi, które niestety ustąpiły. Gdyby były zamknięte, mógłbym spokojnie odejść, a wcale nie pałałem jakąś szczególną ciekawością, by zobaczyć, co się za nimi kryje. Ku mojemu zdziwieniu wewnątrz wyglądało zdecydowanie lepiej niż mogła na to wskazywać podniszczona (delikatne określenie) zewnętrzna powłoka.

Drzwi zamknęły się za mną z hukiem, zupełnie tak jakby nagle zerwał się porywisty wiatr. Przywarłem do małej szybki, ale nie dało się przez nią nic dostrzec. Co gorsze drzwi, które chwilę wcześniej tak łagodnie, wręcz zapraszająco zareagowały na delikatny nacisk mojej dłoni, teraz w ogóle nie chciały ze mną współpracować. No tak, mój mózg genialnie to

sobie wymyślił. W końcu nie po to kazał mi tu wejść, żebym od razu wychodził. Zdawałem sobie sprawę, że siłowanie się z klamką jest bezcelowe. Pewnych blokad po prostu nie da się obejść, a zwłaszcza tych, które zostały utworzone i egzystują we wciąż nie do końca zbadanym ludzkim umyśle.

Na parterze nie znalazłem żadnego mieszkania, tylko winda i schody. Biorąc pod uwagę stan techniczny budynku wybór tej pierwszej możliwości nie wydawał się zbyt rozsądny, ale i schody, prowadzące nie wiadomo dokąd, pozbawione były poręczy czy jakiegokolwiek innego zabezpieczenia. Trudna decyzja, lecz jak się szybko domyśliłem, to nie ja musiałem ją podjąć.

Gdy kabina zjechała na parter, oślepiając mnie przy okazji jaskrawożółtym blaskiem świetlówek, wiedziałem już, która droga jest mi pisana tym razem. Nie opierałem się. Chyba pogodziłem się z faktem, że nie mam na nic wpływu, zupełnie tak jakbym był zahukanym dzieckiem, które nie potrafi sprzeciwić się zaborczej i apodyktycznej matce.

Właśnie w tym momencie, w którym z dość umiarkowanym jak na zaistniałą sytuację spokojem, zaakceptowałem (z trudem, ale jednak) to tymczasowe ubezwłasnowolnienie, nieoczekiwanie stanąłem przed wyborem. Przyznaję, że wtedy całkiem spanikowałem. Przez chwilę nie wiedziałem, jak powinienem się zachować, tak jakby pojęcia typu samodzielność, myślenie czy analiza były mi kompletnie obce.

Stałem nieruchomo w środku windy, czekając aż sama zawiezie mnie na właściwe piętro. Nie doczekałem się, więc nacisnąłem przycisk z numerem jeden. Mała żaróweczka zaiskrzyła niemrawo, po czym zgasła. Dwójka, trójka, czwórka, piątka, szóstka i siódemka to samo. Nadal stoję dokładnie tam gdzie stałem. Ósemka zerka na mnie kusząco, ale podejrzewam, że nie zadziała, podobnie jak poprzednie. Mimo to naciskam i ją, a co mi szkodzi w końcu. Przecież to i tak tylko sen. Co prawda, gdy go opisuję, nie wygląda nawet na jakiś straszny, lecz za każdym razem, kiedy odgrywam w nim tę samą rolę, nie zdaję sobie sprawy z tego, że to jedynie imaginacja wykreowana niejako przeze mnie samego. Mimo wszystko wydaje mi się to wtedy bardzo realne, jakbym naprawdę przeżywał to na jawie.

Pomarańczowe światelko pod ósemką nie gaśnie. W końcu ruszamy. My, w sensie ja i winda. Wreszcie coś się dzieje, chociaż nie wiem, czy to dobrze czy źle. Zresztą jakiegokolwiek by to nie było i tak za późno, żeby coś zmienić.

Po kilkunastu sekundach zatrzymujemy się. Ostrożnie wyglądam przez wąskie okienko, ale wszyscy pewnie doskonale pamiętają z własnych doświadczeń, że przez takie maleństwo ciężko rozejrzeć się na boki. Centralnie na wprost mnie ujrzałem brązowe drzwi

jednego z mieszkań, chyba nawet jedyne na tym piętrze, chociaż nie wychodząc z windy nie byłem w stanie określić tego na sto procent.

Ostatecznie postanawiam wyjść z kabiny. To, że tak postanowiłem nie znaczy jeszcze, że tak uczyniłem. Drzwi bowiem ani drgnęły. Tego nie wziąłem pod uwagę. Nie przypuszczałem, że po tym wszystkim zatrzasnę się w windzie. Tak po prostu. Niby nie mam klaustrofobii, ale jednak zrobiło mi się duszno. Myślałem o wybiciu tej cholernej szybki, lecz przecież i tak nie precyzyjnie prześlizgnąłbym się przez tę szczelinę. Jestem szczupły, ale nie do tego stopnia. Nawet anorektyczna modelka miałaby niemały problem z tym, by prześlizgnąć się przez tak wąski otwór.

Nacisnąłem przycisk z dziewiątką. Dokładnie tak jak przewidywałem zabłysnął wyłącznie po to, by momentalnie zgasnąć. Dziesiątka i zero to samo, zresztą nawet nie lękałem się, że będzie inaczej. Czuję się jak zwierzę zamknięte w zbyt małej klatce. Zrezygnowany siadam na podłodze, kompletnie nie zaprzatając sobie głowy tym, że ubrudzę spodnie. W chwilach takich jak ta estetyka schodzi na zdecydowanie dalszy plan. Zresztą, kto zwróci uwagę na lekko przybrudzone ubranie, przecież jestem tu sam, całkiem sam, nie ma nikogo, kto mógłby przyjść mi z pomocą.

Właśnie wtedy dociera do mnie, że sytuacja nie wygląda jeszcze tak tragicznie. Przecież w każdej windzie znajdują się również przyciski alarmowe na wypadek jakiegось awarii, na przykład takiej jak ta.

Energicznie zrywam się z podłogi, do tego stopnia energicznie, że kabina lekko się rozkołysała. Słyszałem, jak podtrzymujące ją liny cicho jęknęły. Zastygłem w bezruchu, czekając aż wszystko wróci do normy. Jakoś zupełnie nie miałem ochoty na niekontrolowany lot w dół ruchem jednostajnie przyspieszonym. Zdecydowanie wolę inne rozrywki, mniej ekstremalne.

Alarm w każdej windzie, co Wells? W każdej, ale z całą pewnością nie w tej. Pieprzony wyjątek potwierdzający regułę.

Zawsze w tym momencie snu wpadam w szal i zaczynam walić ze złości w metalowe i zimne drzwi, ale ten chłód wcale nie pomaga mi ochłonać, wręcz przeciwnie rozwściecza mnie jeszcze bardziej.

Wtedy się budzę. Za każdym razem. Nigdy nie udaje mi się wyjść z tej cholernej windy. Można śmiało powiedzieć, że od czterech miesięcy jestem tam uwięziony. Najgorsze jest to, że gdy tylko zasnę, znowu wrócę do swojej ciasnej klatki i nie dam rady uciec.

Jednak mimo to cały czas mam nadzieję, że któreś nocy się uwolnię. Pragnę tego, nawet jeżeli miałyby się okazać, że senny świat poza kabiną przysporzy mi kolejnych

zmartwień. Zamiast ciągle popełniać te same błędy, wolę iść naprzód. Bez względu na konsekwencje.